

Z cyklu „Friedrichstadt”

### **Świadomość klasowa**

Co mi dałaś w bukietcie, ziemio,  
jakich nazw się uczyłem w zimnym świetle gwiazd:  
zboża, szafran i tymianek? Raczej ziemniaki, mleko i herbata.  
Chleb z masłem roślinnym, na to cukier, także z twojego bukietu,  
albo sól z twoich trzewi. I trochę kurzu z cementarza.  
Oto jest księga, z której już czytały dzieci ze starszej klasy,  
oto droga, po której biegły przede mną zwierzęta, małe, wystraszone,  
o śliskiej sierści; nie było dla nich za ciasnych przesmyków,  
nie było za ciemnych kątów, ani jęków, pisków i pomruków,  
których by zaniechały we własnej obronie. Dziś wszystko, co ma nazwę,  
staje słupka i prosi, by mu przytaknąć. Nie mogę w to uwierzyć. Brodzę pośród imion,  
szczerze zobowiązany, i szukam czegoś  
w ich cieniu.

### **Upadłość w mieście portowym**

Chodźmy ku otwartej przestrzeni, niech życie złożone w kostkę  
wygrzebie się z trzech walizek: strachu, głupoty i kłamstwa.  
Tłumoczek lenistwa nie znaczy przy nich nic. Tak ciasno spakowane  
będzie potrzebowało miesięcy, może lat, lecz chodźmy  
i tam odnajdźmy siebie, choćby ten cel był odległy. Statek stoi na redzie,  
trap rdzewieje, w kajutach miejski kurz i portowe sprawy,  
z bocianiego gniazda wzlatają pokolenia, robią koło nad miastem  
i padają w jego rozgadaną toń, kto je zdoła policzyć.  
Obrót kołem sterowym, ostatni i zamaszysty, ono z niczym  
się już nie łączy, czarne jest dobre i czerwone, niech szyderycy  
śmieją się do twych pleców, na pewno nie przegrześ,  
gra nie ma tu nic do rzeczy. W ciemnej uliczce mężczyzna,  
którym nigdy nie byłeś, w mansardzie tamta kobieta,  
w schludnym domu dzieci i łagodne zwierzęta w obejmieniu.  
Szwagier uwozi resztę twoich sprzętów, plotki rozchodzą się szybko,  
Chińczyk zarzyna psa, matka pakuje zabawki. Sąsiad w mundurze kapitana  
zagląda przez okno i kładzie na stole kopertę Biura Podróży  
„Sunrise Paradiso”. Zrzekłeś się swoich udziałów  
i dobrze im życzysz.

**Do czasu**

Na zewnątrz, hucząc batwanami, szaleje dziki czas.  
Wieszam przy oknie Inianą marynarkę,  
podmuch chłodnego powietrza przetyka jej rękaw  
i wychodzi górą, gdzie od tygodni nie było  
mojej głowy. Pod słońcem za drobną siatką żyję  
w harmonii i ładzie, a gdy i tego mało, zaciągam litą zasłonę,  
nie masz mnie gdzie przydybać, wszechpotężny. W pracy  
mnie chronią liczne obowiązki, w domu  
święta prywatność i prywatna własność, w drodze  
wolność i nietykalność. Nie staję na papierosa  
w wyznaczonych miejscach, by żar nie zwabił potwora,  
co czyha w trzewiach dworca, i z każdej strony oglądam  
darmowy poczęstunek. Już wkrótce żaden pociąg  
nie będzie się zatrzymywał na pośrednich stacjach,  
trzymam się tego jak masztu, gdy wściekły, w pisku hamulców,  
objasz boki wagonu.

### **Prawo i życie**

Niedużo miejsca, specjalnie są pomniejszeni,  
a potrafią wnieść sporo, nawet na trzecie piętro.  
W zamian chcą kilku drobiazgów potrzebnych do naprawy spodka,  
co wylądował na brzuchu, bodaj na polu kapusty.  
Parę rzeczy, od dawna potyka się o niej twój kot, twój pies  
i potrąca kolejne rzeczy. Jest wściekły. Więc mówisz nie to  
i nie tamto, a oni słuchają z zaciekawieniem,  
lecz bez zrozumienia. I czekają na zapowiadaną niedzielę,  
gdy zobaczy ich cała ulica. Mężczyznom spodoba się  
ich zielona skóra, kobietom eleganckie czułki; dzieci nie znały ich zabaw  
i będą w siódmym niebie. Za daleko!

Spróbuj zrozumieć, co do ciebie mówię,  
kosmito, co się urwałes z galaktycznej choinki.  
Zanim zaostrzę w gniewie prawa. I napiszę do króla,  
a on przyśle tu smoka o wielkich zębach, siekących bez opamiętania.

**Redystrybucja**

Nie hartuje nas noc i niedola nie wzmacnia,  
chcemy dnia wolnego od pracy i doli godnej naszego wysiłku,  
który już chyba można mierzyć w megadżulach. Nie pošlemy córki  
na urodziny prezesa i nie będziemy wozić do spa jego żony, nawet służbowym autem.  
Niech diabli wezmą wartość dodatkową, synu. Gdybyś zadzwonił wcześniej,  
poszlibyśmy na męski wieczór do „Samego Zła”  
i przy kwaśnych rymach twoich nowych przyjaciół zapomnieli  
o prawie wszystkim. Do rozważenia na przyszłość, bo nie ma takiej sprawy,  
co nie zmięknie, przyparta do baru. Potrafię przeciągle milczeć,  
czym są trzy lata o gorzkawym posmaku wobec jesieni życia  
na nowym horyzoncie, o którym pomówię chętnie: Chmury, chmury i chmury.  
Dokąd tak suną ponad koronami, kominami i nad antenami? Na naszej nowej ulicy  
łupin będzie aż nadto, najpierw posypie się grochodrzew,  
co zważywszy na to, że puścił liście ostatni,  
stawia go w nienajlepszym świetle w tej robotniczej dzielnicy;  
potem topole i brzozy. A kiedy zostaną nam tylko uzbrojone po zęby iglaki  
w ogrodzie dendrologa, a podwórze stanie się niemal idealnym pudłem rezonansowym,  
przynajmniej do pierwszych śniegów, sięgniemy po epikę  
laudanum i whisky. Nie słuchaj świńskich podszeptów.  
W szafie oprócz jednego mola, którego godziny są policzone,  
bo poznałem już jego zwyczaje, jest coraz więcej wszystkiego,  
w trzech szafach, ściślej mówiąc, dzięki czemu twoje coraz starsze rzeczy  
nie będą się mylić z moimi, co ponoć młodnieją z dnia na dzień.  
Wieczorem była narada, tematem redystrybucja,  
ochrona naszego biotopu i bardziej sprawiedliwa strategia karania  
tych, co nie mogą zrozumieć. A także wyprowadzenie sztuki na ulice,  
bo bez niej kim jesteśmy? Wyjęto dla ciebie pieniądze,  
więc powiedz, ile ci trzeba, i zrób z nich dobry użytek, godny kosmicznych potrzeb  
twojego pokolenia, co dość się nacierpiało za niewinność,  
wybacz. I wracaj, gdy tylko możesz.

### Pożegnanie

Och, chłopcze mroczny, dziś podróż dobiegła końca,  
przyjmij do outlooka tę ostatnią wiadomość,  
wyciągnij wnioski ze zniszczeń, ale nie pochopne,  
i podlicz to, co zostało. Przejdź przez zasieki picia  
i przez zasieki oschłości, kąpiel dobrze ci zrobi  
i udany zakup, a także szczerą rozmowa  
z dawną przyjaciółką. Na poszarzałą dziś twarz  
wzejdzie rumieniec, na pewno. Nie będzie zwrotu kosztów,  
ale na nową wyprawę wkrótce wpłynie zaliczka  
od nieugiętych hormonów. Nie raz przecież na skype'ie  
wyglądałeś świtu i czyś czatował na darmo? Nabieraj zatem siły  
i wyruszaj śmiało, bo świat już wynajduje inny ślepy zaułek,  
inne zdradzieckie prawo i inne zniewolenie:  
Duszę Ci wyjąławia pospolity obyczaj.

**Kamyk**

Jak skąpo wydzielony jest nam czas.  
Budzimy się, dziwimy i już wieczór.  
Dzieci wyjmują z szafy niedorzeczne ubrania,  
wkładają słuchawki do uszu i wychodzą, a ty zasypiasz  
z telefonem w ręku. Póki jaśniejesz wyrozumiałością,  
budzą cię newslettery z odległego kraju, co wyrósł na tęsknocie  
ludzi dobrej woli i dyskretnie prosi o wsparcie.  
W dole toczy się życie. Płyne wartko w niepojętą stronę,  
wzmoczone twoim przelewem, i ciągnie po dnie kamyki.  
Stróż upchnie je rano w wyrwie pod fasadą, lecz jeden zostanie dla ciebie.  
Podwiń nogawki i gnaj przez ciepławe kałuże, roztaczając tęczę.  
Sąsiedzi stoją na brzegu, blade cienie, nikogo nie kochają, gorszą bliźnich.  
Włóż kamyk między trofea twej szumnej młodości:  
ząb mleczny i chustę z kolonii.

W cyklu „Friedrichstadt” znajdują Państwo frazy z Friedricha Hölderlina w przekładzie Antoniego Libery. Pisząc te wiersze, miałem na biurku tom **Co się ostaje, ustanawiają poeci** (Wydawnictwo Znak, Kraków 2003). Wcześniej leżało tam polskie wydanie **Innych tradycji** Johna Ashbery’ego, otwarte na stronie 21.

Publikowane utwory pochodzą z tomu **O rzeczach i ludziach. 1991–2010**, który ukaże się nakładem Biura Literackiego w styczniu 2011 roku.

D.S.